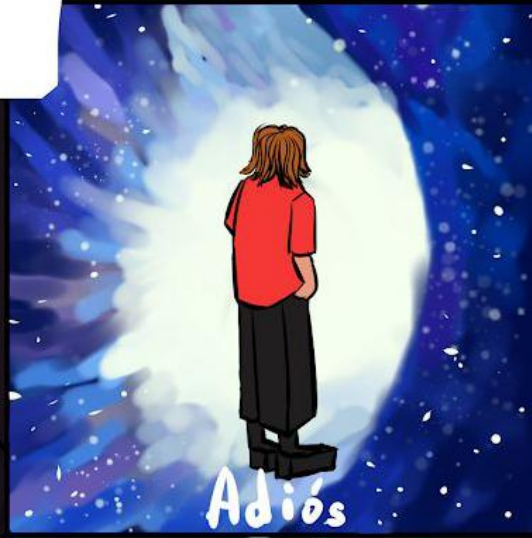


wifi

NR5 2020/2021



Ha! Ha! Ha!

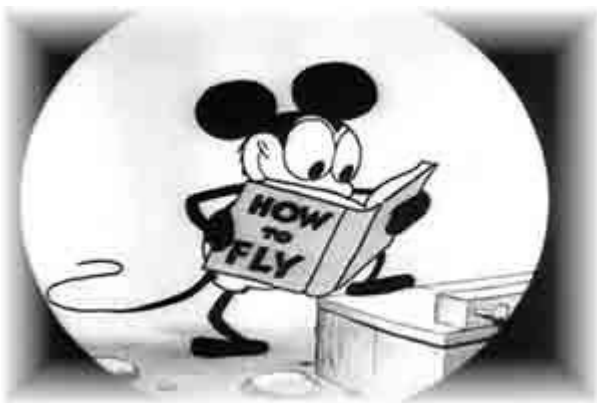
Kto nie lubi się śmiać? Głupie pytanie – wiadomo, że uwielbiamy wszelkiego rodzaju żarty. Te krótkie i jasne, wymyślone na poczekaniu, niejednokrotnie wywołujące łzy w oczach, jak też te nieco mroczniejsze, których skutkiem jest prychnięcie i kręcenie głową z uśmiechem. Żarty bawią nas, cieszą i rozluźniają. Właśnie teraz, zamknięci w czterech ścianach pomiędzy lodówką a komputerem, potrzebujemy tego luzu najbardziej. Wraz z nowym rokiem (i półroczem!) nasza redakcja postanowiła dostarczyć Wam dawkę humoru. A teraz zaserwuję najbardziej suchy żart, jaki dziś usłyszycie:

„Czarny humor jest jak nogi lub ręce – nie każdy je ma”

Redaktor naczelny

Kinga Krutul





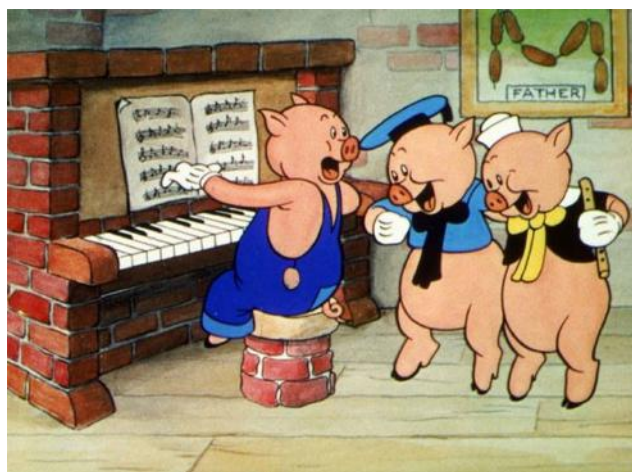
Źródło: qlturka.pl

Skórka od banana

„Staraliśmy się, żeby były wyłącznie gagi. Cała historia jest nieprzerwanym ciągiem dowcipów” te słowa Walta Disneya do dystrybutora jego pierwszych filmów, Charlesa Mintza odnosiły się do produkcji „Alice Cans the Cannibals” (1925), ale

dobrze odzwierciedlały stosunek tego ojca animacji do humoru w dziełach swojej wytwórni. Podejście do komizmu w filmach animowanych zmieniało się jednak na przestrzeni lat. W tym artykule postaram się przybliżyć różne rodzaje komizmu w filmach rysunkowych.

Pierwsze animacje mocno czerpały z aktorskich filmów niemych i burleski. Tak więc odnajdziemy tam takie elementy jak slapstick, karykatura, parodia, czy trawestacja. Pojawiały się proste żarty w stylu poślizgnięcia się na skórce od banana. Z tego rodzaju komizmem mamy do czynienia między innymi w animacji „Stary młyn”(1937). Żaba zjada świetlika po czym sama zaczyna świecić od środka. Nie znaczy to jednak, że twórcy filmów rysunkowych ograniczali się jedynie do bardzo ugrzecznionych żartów. W „Trzech małych świnkach” (1933) w domku tytułowych bohaterów wisi na ścianie rysunek przedstawiający kielbasę z podpisem „Father”, co zakrawa już na mocno czarny humor.



Źródło: demotywatory.pl

Czasami, aby zrozumieć żart, trzeba znać obsadę filmu. Przykładem tego jest scena z „Księżniczki łabędzi” (1994), w trakcie której czarny charakter całej historii Rothbart, śpiewając swoją piosenkę wykonuje sprawnie pompkę na jednej ręce. Jest to odwołanie do sytuacji z 1992 roku, gdy podkładający pod Rothbarta głos Jack Palance po otrzymaniu Oscara wykonał właśnie takie ćwiczenie na scenie.



Źródło: moviesroom.pl

Wątki humorystyczne we współczesnych filmach rysunkowych często opierają się na przełamaniu dobrze wszystkim znanych schematów i zaskakiwaniu tym widza. Flagowym przykładem tego jest „Shrek” (2001). Mamy w nim wspomnianą księżniczkę zamkniętą w wieży. Czego oczekujemy? Subtelnej, delikatnej jak mimoza piękności. Co otrzymujemy? Zadziorną, pewną siebie dziewczynę, która ma opanowane do perfekcji sztuki walki i zamienia się co wieczór w przerażającego ogra. W tak zmienionej klasycznej opowieści również utrzymywanie zgodnej z



kanonem baśniowym elementów wywołuje w widzu śmiech, ponieważ najzwyczajniej wydaje się nieadekwatne, dziwaczne. Taką rzeczą jest między innymi przywiązanie Fiony do schematu przystojnego i szlachetnego księcia ratującego mężnie bezbronną białogłową z wieży, a także jej reakcja, gdy ten schemat nie spełnia się w jej przypadku.

Wyjściem do sytuacji komicznej jest także nadawanie postaci bardzo wyrazistej cechy (wystarczy przypomnieć sobie krasnoludków z „Królowy Śnieżki i siedmiu krasnoludków”). Przykładem tego jest również nowsza animacja „Zwierzogród” (2016), gdzie spersonifikowane zwierzęta posiadają dalej cechy stereotypowo przypisane dla swojego gatunku (szczwany lis, głupi królik). Dzięki temu otrzymujemy cudowną scenę, gdzie leniwiec Flasz w typowym dla tego zwierzaka tempie wykonuje swój zawód urzędnika, a nasza główna bohaterka Judy musi bardzo szybko załatwić sprawę.

Tak więc widzimy, że w animacjach występują bardzo różne rodzaje żartów od prostych, współcześnie niestety niezbyt wyrafinowanych gagów, po zabawę ze znanymi motywami i nawiązania do innych filmów, seriali czy książek. Dlatego śmiało można powiedzieć, że komizm jest bardzo istotną częścią animacji i, że każdy spokojnie znajdzie w nim coś dla siebie.

Ewa Balcerzak



Źródło: bigbaddice.pl



Pranki – co, jak i kiedy?

Sądzę, iż każdy, kto spędził trochę czasu w internecie kojarzy, tzw. „pranki”, czyli w tłumaczeniu z języka angielskiego - żarty, figle. Zazwyczaj są to krótkie filmiki, na których twórca płała psikusy osobom nie wiedzącym, iż są nagrywane. Stały się one trendem światowym równocześnie wywołując niemałe kontrowersje. A od czego wszystko się zaczęło?



Kadr z filmu „Polewacz polany” reż. Louis Lumière
Źródło: kultura.gazeta.pl

Historia pranków

Sceny komiczne zaczęły pojawiać się już od początku kinematografii. W 1895 roku odbył się pierwszy pokaz filmowy, na którym premierę miała niema komedia „Polewacz polany”, ale do filmików, których temat dzisiaj poruszam jeszcze długa droga. Pionier programów o ukrytej kamerze, a w tym przypadku mikrofonu (początkowo były to audycje radiowe) ukazał się w 1947 roku, a rok później z ulic i stacji radiowych przeniósł się na ekrany telewizorów. „Candid Camera” realizowany był z przerwami, aż do 2014 roku. Formuła była wiele razy zmieniana, lecz sam zamysł pozostał niezmienny. Zdobył on ogromną rzeszę fanów. Z biegiem czasu inne stacje telewizyjne również postanowiły stworzyć własne „ukryte kamery”. W Polsce pierwszym filmem tego typu był „Kobiela na plaży” z 1963r. W późniejszych latach w Polsce pojawiły się również inne produkcje bazujące na ukrytej kamerze, choćby „Mamy Cię”, w którym został wkręcony m.in. polityk Janusz Korwin-Mikke. Następnie nastał YouTube, który dawał twórcom nieograniczone możliwości tworzenia własnych produkcji. Zaczęły się pojawiać pierwsze filmiki z ukrytą kamerą. Zazwyczaj występowała jedna nic nieświadoma osoba, a okazja nadarzała się przypadkiem.

Nagle pojawił się Francuz Remi Gaillard, który po utraceniu pracy w sklepie obuwniczym postanowił zostać kimś ponadprzeciętnym. Zaczął nagrywać filmy inspirowane „Candid Camera”, a jego mottem pojawiającym się na końcu każdej produkcji było „Robiąc byle co, stajesz się byle kim”. Jego popularność wzrosła do niebywałych rozmiarów, gdy w



2002 r. przebrał się za piłkarza, który właśnie wygrał puchar Francji. Bez problemu przeszedł przez ochronę, po czym świętował wraz z innymi piłkarzami. Dostał nawet gratulacje od ówczesnego prezydenta Francji. Od czasu wymienionego pranku zrobił zawrotną karierę w ojczyźnie i na świecie. Stał się dla innych osób źródłem inspiracji, przez co mianował się „ojcem pranksterów na YouTube.com”.

30 stycznia 2012 roku kanał założył Sylwester Wardęga - uznawany za pierwszego polskiego żartownisia. Kiedy rozpoczynał swą przygodę na YouTube, przebierał się za różnych bohaterów, po czym wychodził na ulicę, by nagrać reakcję ludzi. Osiągnął niemały sukces, dzięki swojemu psu. Potwór pies-pająk, czy jak oryginalnie nazwał go Wardęga „Mutant Giant Spider Dog”, to 4 minutowy filmik, który obecnie (2021) osiągnął 181 mln wyświetleń. Zyskał miano najchętniej oglądanego filmiku na YouTube w 2014 roku. Pojawiły się również inne produkcje, lecz nie osiągnęły one porównywalnego sukcesu. Obecnie Wardęga nie nagrywa już podobnych filmów, a niektóre wykonane do tej pory wciąż budzą kontrowersje. Potęgę w zdobywaniu zainteresowania odbiorców zauważyły nawet poważne korporacje, np. firma LG, która nagrała pranka, by przewyższyć konkurencję i zdobyć klientów oryginalnością.



Źródło: se.pl

Pranki wciąż są popularne?

Mimo iż pojawia się coraz więcej pranków, kontrowersje na ich temat wciąż rosną. Wszystko przez fakt, iż osoby nagrywające śmieszne filmiki często posuwają się za daleko, przekraczając granicę dobrego smaku. Osoby padające ofiarami pranków, często narażone są na straty materialne, zdrowotne, a czasem nawet sam wkręcający ponosi uszczerbek na zdrowiu.

Ile ludzi tyle gustów. Niektórzy wciąż są zwolennikami pranków, inni twierdzą, że ich złota era przeminęła, a jeszcze inni nigdy do rzeszy fanów nie należeli.

Zuzanna Żukowska





Dzień z życia błazna

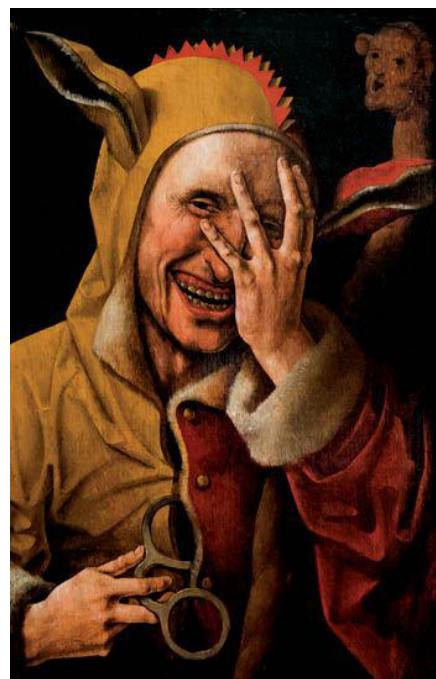
Ludzie spędzają życie na błaznowaniu. Oczywiście, że tak. Tylko większość z nich stara się udawać mądrzejszych, niż są, a ja sprawiam wrażenie głupszego niż w rzeczywistości. Można i tak. To moja praca – w końcu jestem królewskim błaznem.

Pod pewnymi względami to dość ciężki kawałek chleba. Muszę być cały czas w pogotowiu, bo nigdy nie wiadomo, kiedy Jego Królewska Mość postanowi odpocząć od dworskiej pompy i nieco się rozerwać. Czasem zdarza się, że jestem wzywany w nocy, by opowiadać mu kawały i zabawiać go popisami mojego jednookiego, tresowanego psa. Mam wtedy niepowtarzalną okazję oglądania króla w nader nieoficjalnej sytuacji – w długiej koszuli nocnej, z rozczochranymi włosami, śmiejącego się do rozpuku na wielkim łożu z baldachimem. Jego śmiech jest tak donośny, że budzi się połowa zamku, królowa w sąsiedniej komnacie dostaje ataku nerwów, a wszyscy narzekają zgodnie: „Ten głupi błazen znowu rozśmiesza króla o niehumanitarnej godzinie. To niezdrowo, w nocy wszyscy chcą spać, a nie słuchać przeraźliwego śmiechu.”

W takich sytuacjach myślę sobie: kochani, czyżbyście nie wiedzieli, że śmiech to zdrowie? Poza tym, król nie woła mnie tylko po to, żebym opowiadał mu dowcipy – czasem chce także dowcipów z życia. Opowiadam mu więc o tym i owym... na przykład że kanclerz nabrał nowego przyzwyczajenia, a mianowicie kręci się w pobliżu zamkowego skarbcza częściej niż zwykle... może nie ufa strażnikom i chce za wszelką cenę zabezpieczyć królewski budżet? Albo że kucharka odkryła w sobie wyjątkowy talent do wykrywania młodych i tłustych kurcząt w zamkowym kurniku? Tylko że póki co, chyba nie zamierza dzielić się z nami owocami swego talentu... Albo że damy dworu coraz częściej szepczą między sobą o jakichś niezrozumiałych, kobiecych sprawach?

Widzicie, jestem nie tylko nadwornym błaznem, ale także informatorem. Ludzie nie traktują mnie poważnie, więc myślą, że w mojej obecności mogą pozwolić sobie na o jedno czy dwa słówka więcej. A ja? No cóż, dalej udaję głupszego, niż jestem. Przynajmniej w ten sposób poznają ich lepiej, bo ośmielają się być bardziej otwarci.

Tak... widziałem już sporo rzeczy w życiu, choć jestem dość młody. Miałem okazję obserwować wielu ludzi. Każdy z nich przynajmniej w jakiejś części swego zachowania udawał lepszego, niż był. Po co? Ano, po to, żeby mieć władzę, wpływy, bogactwo, szacunek... Bardzo niewielu ludzi nie udaje.



Źródło: astrahistoria.pl



Ale nawet tych, którzy udają, staram się oceniać w duszy miłosiernie. Przecież ja też udaję, że jestem bardziej zabawny i złośliwszy, niż w rzeczywistości. Praca nadwornego błazna jest jednak rzeczą interesującą. Zwłaszcza, gdy pozwala mi się mówić to, czego nie mogą mówić inni, oraz obserwować reakcję otoczenia na moje słowa.

Na przykład wczoraj zabawiałem króla i cały dwór w wielkiej sali. Zaprezentowałem im raczej standardowy zestaw popisów: chodzenie na rękach, żonglowanie, mój pies chodzący na linie zawieszony kilka stóp nad ziemią, i moje ulubione, czyli granie na fujarce. Kiedy ludzie słyszą moje fałszowanie, to damy zatykają uszy, a kawalerowie śmieją się i zaczynają wyśpiewywać ochryplymi od alkoholu głosami żołnierskie piosenki. Ach, co za przyjemność... No ale wracajmy do naszej historii: król w pewnym momencie kazał mi powiedzieć, jaką wadę uważam za najgorszą. „Skapstwo, Wasza Królewska Mość, odpowiedziałem, ponieważ kto skąpi na przyjaciół, ten nie będzie mógł oszczędzić na wrogach”. „A kto jest według ciebie największym skąpcem w królestwie?”, król zaśmiał się tubalnie. „Wasza Królewska Mość, ponieważ za taką nędzną robotę, jak zabawianie Waszej Królewskiej Mości, dostaję tylko dwadzieścia talarów na miesiąc. Tak się trudzę, żeby na ustach Waszej Królewskiej Mości mógł pojawić się uśmiech, że powinienem dostawać za to co najmniej trzydzieści talarów”, odpowiedziałem. Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy byli przerażeni moją zuchwałą odpowiedzią, lecz zaraz król się roześmiał. „A bodajże cię, wykrzyknął, masz u mnie trzydzieści talarów, bo nie chcę mieć wroga w twoim języku”. I tak oto podwyższyłem sobie pensję.

Oho, chyba znów Jego Królewska Mość mnie woła. Ciekawym, co nowego mnie spotka... Może znów uda mi się wyciągnąć od niego z dziesięć talarów?

Julia Strankowska



Jan Matejko - „Staniec na dworze królowej Bony po utracie Smoleńska”



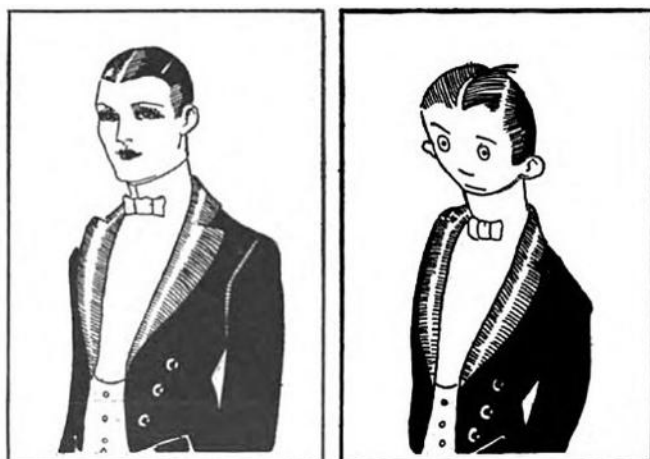
Pierwszy mem świata

W dzisiejszych czasach z memami zetknął się niemal każdy, w szczególności młodsze pokolenia. Zabawne obrazki ukazujące codzienność w krzywym zwierciadle nie tylko weryfikują dzisiejsze poczucie humoru, ale i kształtują coś, co porównywalne jest do własnego języka pośród członków określonej generacji. Fenomen memów przede wszystkim wynika z ich aktualności, a także satyrycznego odniesienia do rzeczywistości i oswojenia jej w sposób humorystyczny.



Źródło: stacker.com

Dzisiaj wszystko dzieje się szybko – ludzie robią się coraz bardziej niecierpliwi, łatwo nas znudzić. Każdy chce być na czasie, a moda zdaje się bezlitośnie pędzić. Co ciekawe, ten pośpiech zdaje się przekładać nawet na takie błahostki jak memy. Wspomniana aktualność sprawia, że zmieniają się one w zatrważającym tempie – dziś przeciętny mem bawi bardzo krótko, tylko po to, aby za chwilę ustąpić miejsca kolejnemu. Choć znajdują się i takie, które będąc wręcz ponadczasowymi uwagę odbiorców utrzymują już kilka lat, nie wychodząc z obiegu. Trudno spamiętać ich kolejność, szczególnie, że mema może zrobić niemal każdy. Tak więc Internet codziennie zalewa fala zabawnych obrazków odnosząca się do najrozmaitszych sytuacji na świecie i niemal każdego aspektu życia. Co więc zapoczątkowało tą lawinę? Jaki był pierwszy mem?



HOW YOU THINK YOU LOOK
WHEN A FLASHLIGHT IS TAKEN.

HOW YOU REALLY LOOK.

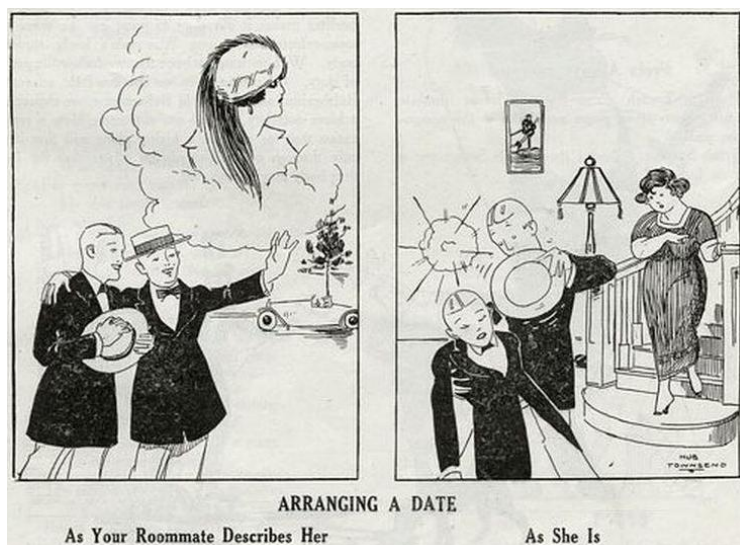
Prawdopodobnie powstał on w 1921 r., zamieszczony w magazynie satyrycznym „The Judge”. Grafika przedstawia dwóch mężczyzn: tuż pod pierwszym, przystojnym i starannie narysowanym, widnieje napis: „jak myślisz, że wyglądasz, gdy robią ci zdjęcie”, natomiast pod drugim, zniekształconym i krzywym, napisano: „jak naprawdę wyglądasz”. Fascynującego odkrycia dokonał użytkownik Tumblr’a, Yesterday’s Print, często zamieszczający tam ciekawostki historyczne. Wielu internautów dostrzegło pewne podobieństwo do popularnych memów „oczekiwania versus rzeczywistość”, a sam rysunek doczekał się wdzięcznej nazwy „flashlight meme”.

Źródło: wprost.pl



„Pierwszy mem” wzbudził nie lada zainteresowanie, jednak niedługo potem dziennikarze BBC, pochłonięci nietypowym tematem, odnaleźli jeszcze starszy obrazek. Chodzi o grafikę opublikowaną w magazynie „Wisconsin Octopus”, prawdopodobnie w 1919 lub 1920 r. Tak jak „flashlight meme” opiera się on na zasadzie porównania dwóch różnych punktów widzenia, tym razem jednak nie chodzi o robienie zdjęcia, ale o randkowanie. Obrazek nie wywołał jednak furory na miarę konkurenta z 1921, głównie przez swoją obraźliwą naturę.

To czy wyżej wspomniane rysunki można nazwać memami, jest kwestią sporną. Mem jako taki zdefiniowany został przez Richarda Dawkinsa w książce „Samolubny gen” w 1976 r. Według autora, aby coś nazwać memem, należy to w pewien sposób powielić; rzecz ta ma spełniać funkcję jednostki przekazu kulturowego lub jednostki naśladownictwa, będąc replikatorem kulturowym analogicznym do replikatora w biologii, jakim jest gen. Dlatego też sam obrazek z 1921 r. trudno nazwać memem, jednak jak utrzymuje BBC - po spojrzeniu na szerszy kontekst, za jaki może posłużyć obecność grafiki z „Wisconsin Octopus” już w roku 1919 bądź 1920, działającej na tej samej zasadzie co „flashlight meme”, można przypasować go do definicji sformułowanej przez Dawkinsa.



Źródło: bbci.co.uk

Zadziwiające podobieństwo pomiędzy memami z lat dwudziestych, a dzisiejszymi „oczekiwaniemi vs rzeczywistością” staje się potwierdzeniem tezy głoszącej, że historia lubi się powtarzać. Jest też na swój sposób pokrzepiające – może wcale nie zmieniamy się tak gwałtownie, jak się mogłoby wydawać, a świat wcale nie pędzi w takim pośpiechu. Może humor, pomimo najróżniejszych zmian zachodzących w naszym otoczeniu na zawsze pozostanie częścią integrującą ludzkość – niezależnie od miejsca pobytu, wieku czy czasu.

Maria Nejman



“Między nami była można powiedzieć za duża różnica płci” – czyli o kabarecie w Dwudziestoleciu

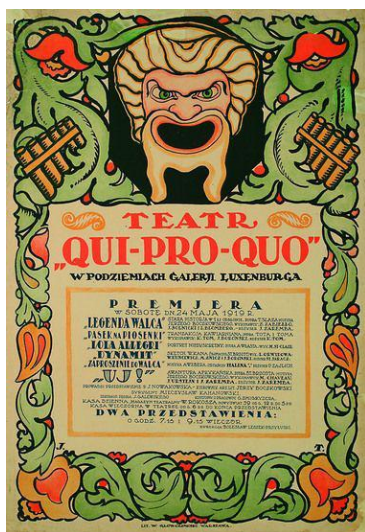
Współczesny polski kabaret doskonali się w wywoływaniu uśmiechów politowania – a ma się czym wspomagać! Służy temu coraz częściej i prymitywny dowcip, i sięganie po tandetne tematy. Chociaż jest to osąd uogólniony, nasuwa tęsknotę za czasem, gdy tekściarze kabaretowi operowali inteligentną satyrą, a komizm potrafili wydobywać z samego języka.

Niecałe sto lat temu dobrze wynagradzany profesor gimnazjalny zarabiał około 300 złotych, niższy urzędnik państwowy między 100 a 200 złotych miesięcznie, zaś Antoni Słonimski za samą deklarację niepisania tekstów dla innych kabaretów niż Qui Pro Quo otrzymywał co miesiąc 2000 złotych. Lubiani autorzy mogli liczyć na pokaźne zyski, toteż twórczość kabaretowa Dwudziestolecia Międzywojennego kwitła, bo pisanie podejmowali się często najwięksi literaccy artyści okresu.



Źródło: dk.com.ua

Pisać trzeba było nie tylko zabawnie i lekko, ale także szybko i dużo, uwzględniając wykonawcę tekstu, warunki sceniczne i gusta publiki. Te ostatnie były najważniejsze, tworzenie trafnych tekstów wymagało dobrego zorientowania w najświeższych skandalach i anegdotach. Kawiarnie, w których przesiadywali artyści, wrzały wręcz od rozmów kabareciarzy – były one miejscem wymiany żartów, informacji, dawały możliwość szlifowania ciętości swego dowcipu i sprawdzania reakcji słuchaczy. Czasem należało z kolei ugryźć się w język, by kolejnego dnia nie usłyszeć swojego kawału w cudzym kabarecie.



Ogromna część twórczości kabaretowej rozproszyła się lub zaginęła, tak było niestety w przypadku większości tekstów Tuwima. On sam traktował je jako jednorazowe, oddzielał je skrupulatnie od swojej twórczości poetyckiej, “poważnej”, której nie sposób było zrównywać ze źródłem dochodu. Cenionego kabareciarza nie czekał nigdy los ubogiego literata, zaś w przypadku tego poety w połączeniu z ogromną pracowitością i językowym kunsztem, owa profesja była niezwykle lukratywna. I choć jego teksty powstawały z przyczyn praktycznych i mogłyby szybko stracić aktualność, nie grozi im to zupełnie. Ich poetycki i treściowy naddatek sprawia, że są czymś więcej niż tylko utrwaleniem nastroju tamtego czasu.

Równoległe z kabaretem współistniały “krótkoterminowe” szopki na

Źródło: varsisava.pl



aktualne tematy polityczne oraz szmoncesy – charakterystyczne dla okresu utwory sceniczne, parodiujące język spolonizowanych środowisk żydowskich. Próbką tego gatunku jest *Elegia Starozakonna* Juliana Tuwima:

“– Czy widzisz żółtkły kaktus, wentualnie lipe,
Na której kwiczoł usiadł i pitoli?
– Nie widzę ich.
– Ja też ich nie widzę, o Hipek.
I to jest właśnie życie. I to mnie tak boli!”

Najsłynniejszy teatrzyk rewiowy *Qui Pro Quo* wypromował późniejsze największe gwiazdy kabaretu Dwudziestolecia: Hankę Ordonównę – legendarną artystkę sceniczną, piosenkarkę czy Fryderyka Jarosy’ego – niedoścignionego konferansjera. Jarosy był Węgrem, początkowo tekstów uczył się na pamięć, gdyż ich nie rozumiał. Ewentualnym koniecznościom ripostowania widzów sprostał Antoni Słonimski, przygotowując artyście uniwersalną formułkę: “Motorniczemu surowo zabrania się rozmawiać z pasażerami”.



Źródło: hi-fi.com.pl

Wcale nie mniejszą sławą niż aktorzy w *Qui Pro Quo* cieszył się wspomniany Słonimski, którego teksty po dziś dzień są źródłem autentycznej śmieszności, często połączonej z realizacją misji genialnego publicysty. Wystarczy przyjrzeć się akapitowi monologu *Pro-rok*, przywołanego w tytule, tegoż autora, by dostrzec w nim satyryczne diagnozy społeczne:

“Ja nie mam wiele do powiedzenia. Ja tylko przyszedłem, żeby zaznaczyć, żeby wyjaśnić, że nie umiem grać w brydża. To jest prosta rzecz. Bardzo wielu ludzi nie umie i są z tego szczęśliwi. Moja tragedia jest głębsza. Ja nie umiem grać w brydża, ale ja gram. Ja muszę grać. To jest wymaganie mojej żony. Ja się brydżę brydżem, to jest – ja się żydżę brydżem, ale ja muszę, bo żona chce grać i nigdy nie ma czwartego. To, że ja nie mam piętnastego ani dwudziestego na wykupienie weksla, to się nie liczy, ważniejsze jest, że ona nie ma czwartego idioty do przerzucania się malowanymi obrazkami.”

Dzisiejszy kabaret ma wywoływać jedynie śmiech, jednak przyglądając się jego ujęciom popularnego tematu, jakim chociażby jest małżeństwo, dochodzimy do wniosku, że Słonimski prawie sto lat temu robił to o wiele lepiej. Nic dziwnego, najwidoczniej teraz wszystko wypada miernie w obliczu niepokonanych mistrzów Dwudziestolecia.

Jakub Kloza





Nie żyj w absurdzie, bo absurd jest do kabaretu

Z Jarosławem Jatelem, członkiem kabaretu „Widelec”, rozmawia Natalia Woroniecka.

Zacznijmy od cofnięcia się nieco w historii. Jak się to wszystko zaczęło? Skąd pomysł na stworzenie kabaretu?

Rok 1993. W głowie studenta, Jacka Janowicza, pojawił się pewien pomysł. Otóż była propozycja, żeby zagrać coś na jakimś święcie studenckim. Zebrało się kilka osób, stworzyło jeden czy dwa dłuższe skecze (właściwie to Jacek stworzył), zagrało, ale wszystko umarło śmiercią naturalną, bo to było studenckie. Po powrocie z Warszawy ze studiów dziennikarskich, Jacek cały czas myślał, żeby założyć kabaret. Nie tylko studencki, ale coś, co przetrwa dłużej i będzie występować nie tylko dla braci studenckiej, ale też dla innych ludzi.

Skąd znaleźli się ludzie, którzy ten kabaret chcieli współtworzyć?

W 1997 r., po powrocie do Białegostoku, Jacek zaczął zbierać ekipę amatorów, którzy mieli w sobie ukryty talent albo muzyczny, albo lekko aktorski. Nie byli oni związani ze sztuką teatralną w żaden sposób. Znalazł się prawnik, pedagog, lekarz, polonistka, a właściwie to dwóch polonistów, rolnik - chłopak, który uprawiał rolę, ale pisał wiersze i dobrze deklamował. Pierwsze spotkania były w sześć, siedem osób; szybko się to zweryfikowało do pięciu, tak żeby zmieścić się później w samochodzie. Tak naprawdę powstanie kabaretu „Widelec” datuje się na rok 1997, aczkolwiek trzeba pamiętać, że początki były w 1993r.

A skąd nazwa kabaretu, dlaczego „Widelec”?

Spotkaliśmy się w domu Jacka Janowicza i każdy rzucał swoje propozycje, ale po pięćdziesięciu, stu dalej nie było zgody w 100%, bo komuś zawsze się coś nie podobało. Wszyscy już byli tym zmęczeni, a ponieważ działo się to w kuchni, leżały sztuce na stole, ktoś rzucił hasło – A może niech to będzie „Widelec”, po prostu. Nikt nie zgłaszał sprzeciwu, co wynikało bardziej ze zmęczenia niż z aplauzu, że świetna nazwa. I tak zostało. Dopiero później zaczęliśmy dorabiać sobie filozofię i cieszyć się, że możemy brać wszystko na widelec, wszystkich mieć jak na widelcu. Jak kiedyś był kabaret „Szpilka” i on wbijał szpilki różnym ludziom, to my możemy wbijać komuś widelec, że tak powiem, w rzyć.

Takie nazwy z przypadku są chyba najlepsze. Wiemy już, jak powstała, ale macie Państwo również piękny logotyp. Czy chodzi w nim właśnie o to, aby się „wbić” w człowieka?

Tak. Myślę, że to jest takie szturchnięcie człowieka, żeby zaczął myśleć, nie zgadzał się na absurdy życiowe i zobaczył, że one nie są do życia, tylko do wyśmiania. Nie można się zgadzać na to, co nas irytuje. Kabaret „Widelec” był na początku kabaretem, który widział różne przywary, różne słabostki ludzi, swoje własne. Próbowaliśmy wyśmiać to co nas denerwowało, co widzieliśmy w ludziach, w relacjach. Później było w tym dużo żartu absurdałnego, poszliśmy w śmiech ze wszystkiego, naciągaliśmy niektóre fakty, albo



wyobrażaliśmy sobie jak mogłyby wyglądać w innym klimacie. Tak powstała np. „Wesoła Nowina” – program biblijny o najważniejszych wydarzeniach ewangelicznych pokazanych z punktu widzenia kabareciarza, który wyobraża sobie ludzi, stających przed mistyką, którzy są zwykłymi rybakami, handlarzami czy lekarzami i nie wiedzą co z tym zrobić. Dlatego ten widelec kłujący osobę w logotypie właśnie wziął się od naszych początkowych chęci zaczepienia człowieka, pokazania mu – „Słuchaj, nie żyj w absurdzie, bo absurd jest do kabaretu, a ty żyj normalnym życiem”.



Płynie przeszliśmy w tematykę skeczy oraz tego, że głównym celem kabaretu jest to, aby publikę rozbawić. Skąd zatem czerpać pomysły na skecze oraz mieć pewność, że publiczność się rozbawi?

Na pewno pierwszą podstawową rzeczą, którą trzeba powiedzieć jest to, że mózg Jacka Janowicza, założyciela „Widelca”, jest bardzo pojemny. To jest człowiek, który poszukiwał bardzo różnych rozwiązań. Bawiliśmy się formą, słowem. Jacek oprócz tego, że skończył studium misyjne, jest magistrem dziennikarstwa i lubi bawić się słowem. Dlatego często z jednej strony skecze biorą się z życia zwykłych ludzi, z drugiej z absurdów życiowych, ale z trzeciej też z zabawy słowem i takiej gry pomylek. Przykładowo nasz słynny skecz „Węgiel” – sprzedawca pyta kupującego, czy ten chce kupić rodzaj węgla groszek, kostkę czy miał. I powstaje zabawa słowem, że skoro miał już miał, to dlaczego miał miał by nie mieć kostki czy groszku. Doprowadza to do takiego absurdu, że publiczność już sama nie wie o co chodzi. Pomysłów było mnóstwo w głowie Jacka, myśmy tylko podrzucali różne tematy. Czasami dużo wychodziło w improwizacji. Skecz, który był napisany na trzy minuty potrafił trwać trzynaście, bo każdy od siebie coś dorzucał, miał swoje skojarzenia albo widział coś ciekawego w temacie i można było to fajnie pociągnąć. O ile wszystko było pomysłem Jacka, o tyle zawsze zespołowo dorabialiśmy dużo formy, treści, dopisywaliśmy puenty. Myślę, że chęć dobrej zabawy i zaskoczenia widza czymś nietypowym była zawsze tym, co pobudzało nas jako „Widelec” do tworzenia.

Czyli improwizacja na scenie była mile widziana?

Tak, jak najbardziej. Były oczywiście skecze napisane od A do Z i które tak graliśmy, zwłaszcza te, gdzie to słowo oraz wybrzmienie na czym polega gra było najistotniejsze. Aczkolwiek improwizacja charakterologiczna była bardzo ważna, człowiek dany tekst musiał zagrać, będąc w jakiejś roli, charakterze, dlatego czasem kontekst słowa mógł się zmienić, ale staraliśmy się, aby utrzymać tę grę słowną. Zdarzały się też takie skecze, które były jakąś myślą luźną i potem same płynęły. Później już nawet nikt nie spisywał tego tekstu, to po prostu było w nas. Ktoś mówi, „Dobrze, a dajcie mi ten tekst, chciałbym go zobaczyć”, a my wtedy mówimy, „No, proszę pana, tekstu są dwie strony, a gramy go, tak jakby było piętnaście, nikt go nie spisał, to wszystko jest w naszej głowie”.



A co zrobić, żeby samemu się nie zaśmiać w trakcie występowania?

Tzw. „gotowanie się” na scenie to zawsze element mile widziany przez widownię. My możemy mieć później problem z powrotem do normalnego grania, ale to też nas cieszy, że bawimy się tym. Nie powstrzymujemy śmiechu. Staramy się tylko, żeby to nie poszło za mocno, ale nie przejmujemy się tym. Jeśli ktoś się zagotuje to nie ma biedy, zwłaszcza, że publiczność tylko czeka, kiedy my się roześmiejemy i czasami dla niej jest to najlepszy punkt w programie.

Czy zdarzyło się kiedyś, że publiczność nie zrozumiała żartu? Albo wam podczas pisania wydawał się zabawny, ale widownia się nie zaśmiała. Co wtedy zrobić?

Tak jest przez cały czas, ponieważ gramy dla różnych środowisk i okazuje się, że są skecze, które w jednym pójdą i będą super zabawne, a w drugim zostaną kompletnie niezrozumiane. Kabaret obfituje w bardzo różnej maści skecze. Są takie na poziomie „disco polo kabaretowego”, czyli bardzo proste żarty, czasami nawet rubaszne, zahaczające o obscurność, alkohol, wulgaryzm, które pójdą w środowiskach mniej wyrafinowanych, ale nie pójdą już chociażby w prawniczych, lekarskich. Bawimy się m.in. formą słowną, która na przykład na festynie, gdzie jest tysiąc, dwa tysiące osób i jest bardzo głośno, nie sprawdzi się w ogóle, bo umyka. Zaś w zaciszu teatralnym, kinowym, klubowym, gdzie to słowo wybrzmiewa bardzo konkretnie, jest przyjmowane z wielkim aplauzem. Tam możemy zaserwować bardziej wykwintne zabawy słowne.

Wspominał Pan te tysiąc, dwa podczas festynu. Dla jakiej największej widowni udało się Wam wystąpić?

Mam w głowie dwa takie wydarzenia. Kiedyś ruszyliśmy jako taki supporcik w trasę z „Kabaretem Moralnego Niepokoju”. Graliśmy na Kabaretonie w Łodzi, w wielkiej hali sportowej i tam było około dziesięciu tysięcy osób. Z kolei drugi występ był na festiwalu, gdzie poproszono nas o takie wprowadzenie. Tam też było około dziesięciu tysięcy.



Pojawiają się tu przeróżne miejsca, w których Państwo graliście. Czy może wspomina Pan jakieś najdziwniejsze, najbardziej nietypowe?

W czasach studenckich, kiedy jeszcze nie wygraliśmy żadnego festiwalu, graliśmy wszędzie gdzie nas zaproszono i chciano, tak żeby jak najszerszemu gronu się pokazać i trochę wybić. Graliśmy w sklepie spożywczym na otwarciu, w takiej wielkiej hali, prawie na wejściu; w więzieniu dla najlepiej sprawujących się więźniów; na przyczepie tira; na balkonie, przy remizie strażackiej. Więzienie było takim niesamowitym doświadczeniem. Widać było skazańców na wyciągnięcie ręki, siedzieli naprzeciwko nas, sami faceci, wytatuowani. Granie dla nich wzbudzało w nas duże emocje.



Jakie cechy powinien mieć dobry kabareciarz?

Trzeba być otwartym, lubić i nie bać się ludzi, nie traktować ich z wyższością, że „ja jestem gwiazdą, a wy mnie obserwujcie”, tylko po prostu „ja przychodzę do was i chcę się z wami dobrze bawić”. Trzeba mieć też zdolności aktorskie. Kiedyś było takie przekonanie, że aktorzy zawodowi, którzy kończą szkoły teatralne, nie są dobrymi kabareciarzami, bo mają wpojona tzw. teatralną czwartą ścianę, czyli kompletny brak kontaktu z publicznością. Kabareciarz musi ją zniszczyć i wychodzić do widowni. Okazuje się, że zawodowi aktorzy, na przykład członkowie kabaretu „Mumio”, również potrafią znakomicie bawić się z publicznością. Myślę, że każdy powinien mieć coś swojego, co chciałby przekazać innym. Można zrobić walor ze swojego kompleksu, wykorzystać wygląd, niski głos, ładny śpiew. Ja na przykład po prostu uwielbiam pracę z ludźmi - być z ludźmi i dla ludzi. Dlatego trzeba się ich nie bać i umieć walczyć z tremą.

Właśnie – trema. Jak sobie z nią radzić?

Chyba nie ma takiej ogólnej rady. Wydaje mi się, że każdy musi być przekonany do tego, że robi to dobrze. Nawet jeśli coś mi nie pójdzie, to nie znaczy, że ja coś zrobiłem źle. Może widownia jest inna niż poprzednim razem, inaczej rozumie mój żart albo ja się inaczej czuję. Myślenie o tym, że jestem dla ludzi zawsze pomaga. Poza tym trema musi być, bo to jest energia. Trema to jest coś, co nas nakręca, pobudza. Bez niej bylibyśmy bardziej ospali. Owszem, czasem może zablokować; ale jeżeli chcę mówić i dać ludziom radość, to ta trema naprawdę może pomóc.

Ciekawi mnie, jakie widzi Pan różnice pomiędzy kabaretem dziś a kiedyś? Co sądzi Pan o nowej formie kabaretu, jaką poniekąd jest stand-up?

Kabaret w ogóle się zmienia. W latach 70., 80. dominował kabaret polityczny. Ludzi najbardziej śmieszyła kabaretowa walka z władzą PRL-u. Później, za sprawą m.in. kabaretu „Potem”, w latach 90. wszyscy uciekali od polityki, a chcieli się zajmować zwykłymi sprawami ludzkimi. Dziś ta polityka wróciła, zwłaszcza kiedy pojawiły się antagonizmy między zwolennikami PO i PiS. Ludzie żyją aferami, jednocześnie mają ich dosyć, że chcą je wyśmiewać. Lubią śmiać się z potknięć innych i wydaje mi się, że na kanwie tego powstał stand-up. Co prawda, stand-up, kiedy tworzył go w latach 80. Andy Kaufman, o którym powstał później film „Człowiek z księżycą”, był zupełnie czym innym niż jest teraz. Andy osądzał ludzi, sprawdzał jaki rodzaj upokorzenia są w stanie znieść, żeby się śmiać sami z siebie. Improvizował, zastanawiał się, w jaki sposób może ludzi obrazić, doprowadzić do skrajnych emocji.

A jaką funkcję ma stand-up dziś?

Dzisiejszy stand-up jest taką potrzebą kabareciarzy, żeby opowiadać o tym, co ich wkurza. Robią to w sposób wulgarny, aby podkreślić, jak jest to denerwujące. Ja nie jestem fanem stand-upu. Wydaje mi się, że można mówić o rzeczach, które nas otaczają w taki sposób, jak mówiły kabarety kiedyś, bez używania wulgaryzmów, pokazywania dodatkowych emocji. Aczkolwiek żyjemy w takim społeczeństwie, gdzie ludzie wyrzucają z siebie wszystko właśnie śmiejąc się z rzeczy bardzo rubasznych, wulgarnych, chamskich. Dlatego stand-up ma taką siłę przebicia, bo żeruje na tych bardzo negatywnych emocjach,



które są w ludziach, na wulgaryzmach, które cisną się wszystkim na język. Wszyscy ich aktualnie używają, jest to bardzo powszechne. Teraz jeśli nie przekniesz w kabarecie to znaczy, że „nie jesteś prawdziwy, nie masz prawdziwych emocji, a przecież sztuka ich wymaga”. Czasami mam wrażenie, że z jednej strony jest to bardzo potrzebne, bo ludzie chcą autentycznych emocji i w związku z tych słów wulgarnych, a z drugiej jestem temu przeciwny, bo wydaje mi się, że prawdziwość emocji nie musi być wyrażana wulgaryzmami. Nie chodzi o nie same, ale też o przełamywanie wszelkich tabu, bo od tego jest stand-up, żeby z nimi walczyć, poruszać tematy, o których normalnie się nie rozmawia.

Na koniec wróćmy do samego „Widelca”. Co Państwo robicie teraz?

Ponieważ był to dawno temu kabaret studencki, przewinęło się przez niego na różnych etapach rozwoju mnóstwo ludzi. Była nawet „szkółka widelcowa”. Jacek Janowicz prowadził kilka mniejszych kabaretów, które były w pewnym sensie takim zapleczem. Gdyby ktoś od nas odszedł, to ktoś stamtąd mógłby dołączyć. Kiedy w 2017 r., na 20-lecie „Widelca” chcieliśmy zaprosić wszystkich byłych i obecnych członków, to naliczyliśmy, że powinno nas być dwadzieścia trzy osoby. Jest lekarz, tancerka, poloniści, którzy uczą w szkole, teatrolog, są przedsiębiorcy, mający swoje firmy, przedstawiciele handlowi, osoby pracujące w farmacji, jestem ja jako pedagog, jest dyrektorka domu kultury, konferansjer i wodzirej, doktor na pedagogice kulturoznawczej. Wychowaliśmy też kilku aktorów. Dzisiaj kabaret składa się z trzech osób plus osoba techniczna. Ten stały skład czteroosobowy działa od około pięciu lat.

Czy kabaret wciąż występuje?

Jeżeli chodzi o to, czy my gramy jako „Widelec” teraz, to tak. Wtedy kiedy nam praca na to pozwala i kiedy czujemy, że może być rzeczywiście fajny występ. Są jeszcze firmy eventowe, które o nas pamiętają albo zapraszają nas znajomi dyrektorzy domów kultury, u których wcześniej graliśmy. Kiedyś, kiedy byliśmy częściej widywani w telewizji, w 2008r., to potrafiliśmy grać rocznie sto występów. Teraz, kiedy już nie jesteśmy w telewizji i każdy ma swoją oddzielną pracę to gramy dziesięć, piętnaście występów. Aczkolwiek nie odzegnujemy się, nie rozwiązujemy kabaretu. Jesteśmy cały czas do dyspozycji, gramy, myślimy o tym, żeby coś nowego tworzyć. Zwłaszcza, że Jacek zawsze daje nam zielone światło, że jeszcze coś napisze, coś podeśle. Także kabaret „Widelec” jeszcze nie złożył broni. Może jeszcze o nas usłyszą nasi fani.

Zapewne usłyszą, a po tej rozmowie być może nawet powiększy się ich liczba. Dziękuję serdecznie za udzielenie wywiadu.

Natalia Woroniecka





Uśmiech "na cztery łapy"

Czy zastanawiało was kiedyś jak szczęście wyrażają nasi czworonożni przyjaciele? Powszechnie wiadomo, iż szczęśliwy psiak na widok swojego właściciela energicznie merda swoim ogonem, jednak w mowie ciała naszych pupili odnaleźć możemy wiele innych ciekawych niuansów. Wbrew twierdzeniom oświeceniowego filozofa Kartezjusza, zwierzęta tak samo jak ludzie odczuwają wiele różnych emocji.

Od ogółu do szczegółu

Aby dobrze zrozumieć występowanie danej reakcji należy przyjrzeć się jej od podszewki, a także powodom jakie ją wywołują. Jak więc powstaje „banan” na twarzy człowieka? Jak wiemy, uśmiech wywoływany jest u nas poprzez szczęście, używamy go również, aby nawiązywać pozytywne relacje z innymi czy też po prostu aby wyrzucić na kimś dobre wrażenie. Pozornie pozytywny wyraz twarzy może kryć za sobą drzemiące w człowieku negatywne emocje, takie jak wstyd czy stres.

Ale jak to wygląda u czworonogów?

Nie ma naukowych dowodów na to, że psy wyrażają radość tak jak ludzie, mianowicie poprzez uśmiech. Jednakże wielu ekspertów twierdzi, że po dogłębnym poznaniu swojego pupila, jesteśmy w stanie wyodrębnić takową emocję. Na pewno widzieliście kiedyś psa, który z dumą prezentował wam swoje uzębienie. Często mylnie interpretowane jest to jako przejaw agresji, bądź wyżej wspomnianej przeze mnie miny. W praktyce, jeżeli pies w tym czasie nie okazuje nam innych negatywnych sygnałów takich jak zaciekłe szczekanie czy najeżony grzbiet, pokazać chce przyjazne nastawienie. W specjalistycznej terminologii określa się to mianem „uśmiechu uległego”. Należy pamiętać że psy lekko otwierają swoje pyski także po to, aby unormować temperaturę swojego ciała, gdyż w odróżnieniu od ludzi, pocą się jedynie poprzez opuszki i zianie. Psy wyrażają szczęście na wiele sposobów, w większości przypadków, robią to za pomocą mowy ciała. Jeżeli pies chce pokazać swoje dobre samopoczucie, zazwyczaj rozluźnia swoje ciało, uchyla lekko pysk oraz trzyma ogon w pozycji naturalnej dla jego rasy. Z kolei ogon opuszczony do niższej pozycji wyraża stres i niepokój. Merdanie ogonem, wbrew powszechnemu myśleniu, nie zawsze jest oznaką radości. Czworonogi wymachują ogonem także w fazie silnego pobudzenia.

Wiktoria Korolczuk



Cudze chwalicie, swego nie znacie

Coraz częściej pośród rozmów na temat filmów słyszymy: „O jeju, ale te tłumaczenie jest beznadziejne, w ogóle mówi o czymś innym, żenada”. Jednak kiedy zagłębicie się w temat, zrozumiecie, że to co mówią, nie zawsze jest prawdą. Oto przedstawiam wam dowód, który mam nadzieję, że przekona was do tego, że niektóre tłumaczenia (mimo że zmienione) są zabawniejsze w polskiej wersji. Skupię się głównie na filmach animowanych, bo to w nich skrywa się najwięcej humoru (jednak nie na wszystkich, bo wyszłaby z tego niezła cegielka!).



Źródło: buro247.ua

Na pierwszy ogień weźmy produkcje, która podbiła serca widzów, tych młodszych i tych starszych i jest chyba jedną z najbardziej rozpoznawalnych bajek na całym świecie. Mowa oczywiście o „Shreku”, wytwórni DreamWorks. Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nigdy nie oglądał. Za dialogi w języku polskim jest odpowiedzialny Bartosz Wierzbęta, a jego praca jest niesamowita! We wszystkich czterech częściach występują liczne nawiązania, do filmów, seriali i piosenek z czasów naszych rodziców! Najlepsze co spotkało całą serię, to Jerzy Stuhr dubbingujący Osła. Wiele jego kwestii odnosi się do „Seksmisji” (w której przecież grał), np. w pierwszej części filmu już na samym początku słyszymy kwestie „Latać każdy może...” co nawiązuje do piosenki Stuhra „Śpiewać każdy może”. Natomiast w oryginale mamy coś o Supermanie i latających osłach - słabe. W kolejnych częściach filmu występują również nawiązania do serialu „Wojna domowa”, filmu „Miś”. Najlepsza moim zdaniem kwestia, która przebija oryginalną jest scena z tortur ciastka, który mówi swoje słynne „Żwirek kręci z Muchomorkiem”, co oczywiście nawiązuje do tej starej bajki. W oryginale jest tam wzmianka o gościu od babeczek, ale nie ma ona podjazdu do naszej polskiej.

Filmy animowane z polskim dubbingiem wzbudzają emocje nie tylko w najmłodszych, ale również w dorosłych. Szczególnie jeśli w produkcjach tych są odniesienia do kultowych polskich seriali i filmów z dawnych lat! Przykład? Proszę bardzo! Jednym z takich filmów animowanych jest „Szeregowiec Dolot”, gdzie sam tytuł oraz główny bohater



jest odniesieniem do Franciszka Dolasa z „Jak rozpętałem II wojnę światową“. Występują tu również nawiązania do serialu „Stawka większa niż życie” oraz do autentycznych postaci z czasów II wojny światowej. I mówcie co chcecie, ale w skali śmieszności „Valiant” (jak jest w oryginale) < „Szeregowiec Dolot”. Pozostając jeszcze przy serialach, to jakżeby można pominąć odniesienie do NAJLEPSZEGO POLSKIEGO SERIALU jakim jest „Cztery pancerni i pies”. Odniesień do tego jest wiele, jedno z nich w „Toy Story”. Słyszymy je już na początku pierwszej części, kiedy to Andy dostaje Buzza. Żołnierzyki przez radio używają słynnego „Wisła zgłoś się”. Jednak w filmie (akurat w 2 części) występuje również nawiązanie do POEZJI! Tak, do POEZJI. Niemożliwe? Ależ owszem. Kiedy w drugiej części Chudy szuka swojego kapelusza, Buzz mówi do niego „Jeszcze dziś będziecie przy ognisku, jak to mawiał wielki wieszcz »Siedzą i jedzą tłuste kiełbasy«”. Oczywiście jest to nawiązanie do „Lokomotywy” Juliana Tuwima. W oryginale jest zawarta gra słów, oczywiście po angielsku, co po polsku nie miałyby to większego sensu ani humoru, a przecież o to nam chodzi. Oczywiście w polskich dubbingach nie mogło zabraknąć odniesień do kultowych polskich piosenek tj. „Czy te oczy mogą kłamać” czy „Remedium” znanego również jako „Wsiąść do pociągu byle jakiego”. Możemy je znaleźć w „Potwory i Spółka”.

Na koniec została produkcja (jedna z moich ulubionych), która zawiera masę nawiązań do Polski i PRL-u. Mowa oczywiście o filmie „Madagaskar” i pochodnego od niego „Pingwiny z Madagaskaru”. W pierwszym z wymienionych, kiedy bohaterowie docierają na wyspę możemy usłyszeć „- W Sopocie. - To, gdzie jest molo?”. W oryginale jest tam mowa o San Diego, jednak do polskich widzów Sopot przemawia o wiele bardziej. W dalszej scenie, w oryginale, następuje wywód Alexa odnośnie miejsca, w którym się obecnie znajdują. Za to w polskiej wersji słyszymy odniesienia do PRL-u. Wspomina on o kartkach na jedzenie, kolchozach oraz pladze stonki ziemniaczanej. W trzeciej części filmu, kiedy bohaterowie uciekają z cyrkiem, podczas rozmowy z tygrysem Alex mówi „Nie będzie Niemiec pluł nam w paszcze?”, co jest oczywistym nawiązaniem do „Roty” Marii Konopnickiej. Przechodząc dalej trafiamy na samodzielny film o pingwinach wywodzących się z „Madagaskaru”. Tutaj również dialogi odnoszą się do naszego kraju. Kiedy Szeregowy przebrał się za Syrenkę, Skipper porównuje go do tej warszawskiej, natomiast w oryginale jest powiedziane „zrobiłeś mi dzień” gdzie chodzi oczywiście o nastrój. Natomiast na samym początku tegoż filmu znajdziemy perełkę, jeśli chodzi o śmieszniejsze kwestie w języku polskim. Kiedy z górki stacza się jajko z szeregowym jeden z pingwinów przechodzących obok mówi „Czasem jaja się traci, taki mamy klimat”, nie muszę chyba pisać do czego się do odnosi.

Jak wszyscy widzimy, nie zawsze tłumaczenie na język polski musi się różnić z czymś gorszym. Wspomniane wyżej filmy i przykłady to zaledwie załączek tego co się kryje w polskich dubbingach i tłumaczeniach (bądź zmianach). Polecam każdemu zagłębić się w temat i poszukać, czy to w Internecie czy na własną rękę tego typu zabiegów w polskich produkcjach.

Michał Mantur





Leczenie żartem, czyli trochę o terapii śmiechem i jodze śmiechu

Ludzie okazują radość lub zadowolenie poprzez napinanie mięśni przede wszystkim w okolicach kącików ust, lecz również wokół oczu oraz opróżnianie płuc z powietrza – zostało to nazwane śmiechem. Poprzez badanie tego zjawiska zauważono jego niezwykle właściwości i zastosowano je w alternatywnych formach leczenia.

Śmiech jest jedną z tych reakcji człowieka, która nie jest wyuczona. Dla przykładu występuje on u dzieci niewidomych i głuchoniemych, które nie mają możliwości naśladowania go. Jego występowanie, tak samo jak “zaraźliwość”, również nie zależy od kultury czy środowiska, w którym się wychowaliśmy. Co ciekawe, kontrastowo do ludzi, u zwierząt śmiech jest oznaką groźby, jako gest pokazywania kłów. Jednak mimo to uśmiechanie się w naszym przypadku również może być interpretowane jako przejaw skrajnego strachu, ponieważ ilość wydzielanych endorfin, hormonów szczęścia, zwiększa nasz próg bólu i naszą szansę na przetrwanie.

Inne korzyści z uśmiechania się, jak funkcja relaksacyjna, wykorzystuje joga śmiechu. Jest to praktyka trochę przypominająca dziecięcą zabawę, ponieważ zawiera elementy jak rozciąganie, śpiewanie, klaskanie, kontakt wzrokowy, a wszystko po to aby zachęcić do dobrej zabawy, pozbyć się zahamowań i wywołać śmiech. Nawet jeżeli jest on sztuczny to, jak mówi jeden z praktykujących, "umysł nie wie, że udajemy" i przynosi nam takie same korzyści. Jako, że jest to joga to oczywiście zawarte są również ćwiczenia oddechowe. W Polsce ta aktywność jest dosyć “elitarna” ze względu na małą ilość praktykujących oraz wiedzy na ten temat.



Źródło: yogajournal.com

Amerykański orędownik pokoju na świecie, pisarz, dziennikarz polityczny oraz profesor Norman Cousins, nie chcąc zaakceptować przedwczesnej śmierci z powodu choroby, zaczął szukać terapii, która da mu perspektywę na wyzdrowienie, ponieważ jego szanse były bardzo małe. Zaczął podążać własnymi sposobami na przywrócenie sobie zdrowia. Polegało to głównie na leczeniu witaminą C i stosowaniu jego autorskiej terapii śmiechem. Wierzył, że dużo zależy od podejścia chorego, a sam od zawsze prezentował niezwykle optymistyczną postawę wobec życia i innych. Ostatecznie żył on o wiele dłużej niż lekarze przewidzieli, a dokładniej zmarł on 36 lat po tym jak odkryto jego chorobę serca.



Dla celów terapeutycznych zostały wyróżnione cztery stopnie śmiechu. Pierwszy stopień jest określony przez Normana Bevina jako "tchnienie radości". Ma znaczenie wręcz nieoszacowane ze względu na to, że jest podstawowym stanem. Jest wyrazem radosnego i głębokiego spokoju, co czyni go nieco ważniejszym niż stopień drugi, czyli chichot, który często sprawia wrażenie mniej prawdziwego. Stopień trzeci to śmiech bezdźwięczny, którego narastanie skutkuje pojawieniem się objawów akustycznych. Czwartym, ostatnim stopniem jest śmiech do łez. Więcej szczegółów o poszczególnych etapach możecie znaleźć w książce Normana Bevina "Śmiech to zdrowie; teoria i praktyka leczniczego śmiechu".

Ostatecznie powiedzenie "śmiech to zdrowie" okazuje się być bardziej prawdziwe niż mogłoby się nam wydawać. Czynność, która wydaje się tak trywialna i oczywista, ma niesamowity wpływ na nasze samopoczucie i ogólną kondycję organizmu.

Emilia Łapuć



Nie-poważna muzyka

Muzyka poważna, muzyka klasyczna - jedno i to samo, większości odbiorców kojarzące się z nudnymi koncertami w filharmoniach i śpiącą publicznością. Jednak również tu nie brak ludzi przepelnionych poczuciem humoru, jedynie nieco specyficznym i niekiedy trudnym do zrozumienia. Sami kompozytorzy mogą się pochwalić sporą kreatywnością we wplataniu zabawnych nut w swoje dzieła czy zręczną ręką pisarską, a czasem już same ich życiorysy mogą wywoływać uśmiech.



Jak się wyróżnić?

Dobre pytanie. Co z tego, jeśli zorganizuje się koncert, skoro publiczność i tak go prześpi? (Chociaż panuje opinia, że śpiąca publiczność to komplement. Przecież nie zasnąłoby przy rzepolących skrzypcach, przypadkowych uderzeniach klawiszy i piszczącym oboju). Sposób na to znalazł austriacki kompozytor Joseph Haydn. Druga część 94. symfonii G-dur zaczyna się spokojnie i usypiająco. Delikatny i cichy motyw główny zachęca do rozłożenia się na siedzeniu i zamknięcia oczu. Podobnie myślała ówczesna publiczność. Szybko wyprowadziło ją z błędu gwałtowne uderzenie w kotły. Na jeszcze lepszy pomysł wpadł (a jakże – Rosjanin) Piotr Czajkowski. W uwerturze z 1812 roku jako element perkusyjny wykorzystał armaty. Nie było mowy o spaniu. (Sami oceńcie czy Rosja to stan umysłu).

Skoro było głośno, to teraz przejdźmy do ciszy. Konkretnie utworu 4'33". Wyobraźcie sobie taką sytuację: siedzicie w sali koncertowej, wszyscy czekają w napięciu, na scenę wchodzi muzyk, siada przy fortepianie... i siedzi. Mijają sekundy, minuty, a on dalej siedzi. Trema? A może zapomniał nut? Lepiej – „gra” utwór Johna Cage'a. Ten kompozytor znany z wielu niekonwencjonalnych pomysłów i rozwiązań, mimo powszechnej opinii, skomponował ten utwór jako całkiem poważny kawałek muzyki, złożony jednak z samych tylko pauz, co wyjaśnia ciszę. Ciekawym „utworem” jest również *Imaginary Landscape No. 4*, gdzie za instrumenty służy aż 12 radioodbiorników.



Włoski diabeł

Nazwisko Paganiniego wybrzmiewa w dwóch skrajnie różnych tonach – pierwszym, jako wyraz podziwu i uznania ze strony słuchaczy i drugim, w postaci agonicznych jęków i płaczu studentów muzycznych uniwersytetów. Niccolò Paganini swoimi *Kaprysmi* i wariacjami potrafi złamać psychikę nawet najbardziej ambitnego skrzypka. Jeszcze za jego czasów mówiono, że w zamian za nieprawdopodobny talent zaprzedał duszę diabłu. Jego życie mogłoby być całkiem niezłym scenariuszem melodramatu. Jako dziecko ćwiczył grę nawet kilkanaście godzin dziennie, bynajmniej nie z własnej woli, jednak ćwiczenia i niemal nadprzyrodzone zdolności zapewniły mu opinię wirtuoza i sławę. Koncertował, był również w Warszawie na uroczystościach koronacyjnych Mikołaja I, gdzie doszło do skrzypcowego pojedynku pomiędzy nim a Karolem Lipińskim, którego znał już od kilku lat. Jego sławie jako skrzypka dorównywała chyba jedynie reputacja hazardzisty i kobieciarza. Przed którymś z koncertów przegrał w zakładzie własne skrzypce (a były nie byle jakie, to trzeba przyznać). Wpadł też na świetny pomysł otworzenia kasyna, które niemal natychmiast splajtowało. Od swych licznych towarzyszek zaraził się kiłą, którą postanowiono wyleczyć rżnię. O dziwo nie zmarł jednak od zatrucia, lecz na gruźlicę. Wciąż warto jednakże posłuchać jego dzieł, jestem pewna, że nieświadomie kojarzycie co najmniej kilka z nich.

Sztuka pisania

By w XIX wieku utrzymać kontakt z bliskimi, trzeba było sobie radzić za pomocą listów i poczty. Dzisiejsze wiadomości nijak mają się do długich wywodów, z najdrobniejszymi szczegółami opisujących zaszłe wydarzenia. Wyjątkowo lekkie i przyjemne pióro miał Fryderyk Chopin. Ale co ja będę strzepić język? Oddam głos autorowi. Oto fragment jednego z jego listów, napisanego do serdecznego przyjaciela Tytusa Woyciechowskiego:

„Rondo parę razy zaczynałem, a orkiestra okropnie się mieszała i zganiała na złe pismo. Całej tej konfuzji przyczyną były pauzy, inaczej u dołu, a inaczej u góry pisane, lubo zapowiedziało się, że górne tylko numera znaczą. Była to moja po części wina, ale się spodziewałem, że mnie zrozumieją; tymczasem gniewała ich ta nieakuratność, a tam są sami Panowie wirtuozi i kompozytorowie, dość, że tyle mi fiochów stroili, że już miałem się na pogotowiu na wieczór zachorować. Ale baron Demmar, Régisseur teatralny, po-miarkowawszy, że to mała niechęć orkiestry, zwłaszcza że Würfel chciał dyrygować, a oni go nie lubią, nie wiem dlaczego, więc wniósł, żebym zamiast Ronda improwizował. — Jak to powiedział, tak orkiestra duże oczy zrobiła. — Tak byłem tym zirytowany, że z rozpaczy przystałem na to, i kto wie, czy ten mój nieszczęśliwy humor i ryzyko nie były mi bodźcem do lepszego wystąpienia w wieczór. Jakoś nic mię nie zatrwożył widok publiczności wiedeńskiej, a ponieważ tam nie ma zwyczaju, żeby orkiestra występowała na scenę, tylko na swoich pozostaje miejscach — błądy, z wyróżnionym kompanem do przewracania kart (który mi się chwalił, że



Moschelesowi, Hummlowi, Herzowi, jak był w Wiedniu, itd. itd. karty przewracał), zasiadłem do przedziwnego, może wówczas najlepszego wiedeńskiego instrumentu roboty Graffa. — Wierz mi, że grałem z desperacji. Tyle Wariacje efektu zrobiły, że prócz tego, iż po każdej wariacji oklaski, po skończonych jeszcze raz na scenę pokazać się musiałem. Intermezzo śpiewała panna Weltheim, nadworna śpiewaczka króla saskiego. — Nareszcie przyszedł czas na improwizację; nie wiem, ale jakoś tak mi poszło, że orkiestra klaskać zaczęła, i znów po odejściu przywołany byłem. — Tak się skończył pierwszy koncert. Gazety wiedeńskie mnie suto pochwały, bo ja z „Kuriera” sobie nic nie robię. W tydzień grałem drugi raz, bo chcieli, z czego byłem kontent, bo nie powiedzą, że grałem raz i uciekłem.”

Prowokacyjny cwaniak

Myśleliście, że o nim zapomniałam? Gdzie tam! Najlepsze na koniec! Pana o inicjałach W. A. M. chyba nikomu nie trzeba przedstawiać, ale na wszelki wypadek – przedstawiam wam Wolfganga Amadeusza Mozarta! Myślę, że już samo nazwisko wywołuje uśmiech. O niesfornym Austriaku krąży wiele legend i jeszcze więcej opowieści. Faktem jest jednak, że cechowała go niezwykła pewność siebie, upór i upodobanie do dobrej zabawy. Znaćcie sześciogłosowy kanon *Leck mich im Arsch*? Nie znacie? To poznacie! Wyszukajcie sobie tekst tego zacnego utworu, a gwarantuję, że będziecie się śmiać. Anegdota mówi, że był on planowany na głosów siedem, jednak Salieri czuł się zniesmaczony... Cóż poza tym? Postaram się wytłumaczyć o co chodzi w utworze „Muzyczny żart” i dlaczego w istocie jest to żart. Wolfgang przewrócił do góry nogami zasady powszechnie przyjęte przez szanujących się muzyków i zaplanował trochę popastwić się nad altówką. Linie melodyczne ozdobił ornamentami (co było nie do pomyślenia) w dodatku często zakończonymi dysonansami. Miejscami wejście instrumentu jest opóźnione – zupełnie jakby altowiolista się zagapił i zapomniał wejść na czas. Całość zamyka kilka tryli, które zupełnie nie pasują, a muzyk wychodzi na zwyczajnego idiotę. Kompozytor nie oszczędził też waltorni, pisząc niemożliwe do zagrania nuty lub również beznadziejnie brzmiące tryle. Kryje się tu jeszcze kilka „dowcipów”, jednak ukrytych za skomplikowaną teorię muzyczną.

Jak widać (a raczej słyhać), muzyka poważna i jej twórcy wcale nie muszą być definicją poprzednich epok czy nudy. Wystarczy dobrze nastawić ucho, mieć otwarty umysł i dać się porwać dźwiękom.

Kinga Krutul



Limeryki?

Limeryk to – jak pisała mistrzyni gatunku, Wisława Szymborska – “niesforne ziółko z ogrodu literatury angielskiej”, a konkretnie pięciowersowy utwór o tematyce purnonsensowej, komicznej, do którego napisania skłania najczęściej konkretna nazwa własna np. mijanej podczas podróży miejscowości. Z reguły limeryk powinien być trochę drastyczny bądź plugawy.

Handel nielegalny

Wszyscy wiedzą że od naszej Dominiki
Zdobyć można zawsze świeże herbatniki
Doszło to do dyrektora
Doma ma prokuratora
Więc interes musi przejść teraz Wiki

Automat z gorącą wodą

W naszej szkole, moi drodzy przyjaciele
Przyszła moda, by na przerwach jeść kisiele
Lecz gdy wrzątek jest za słaby
Nawet nie zrobisz se kawy
To problemy, których teraz mamy wiele

Trup i mucha

W domu Zosi, pewnego razu mucha
Przelatując, gdzieś wywąchała trupa
Trup dni leżał kilkanaście
Wynieść go już chciała właśnie
Lecz trup wyszedł, a za nim kości kupa

Natalia Woroniecka

Człowiek pająk

Zeszłej zimy Tadek z Białegostoku
wynałazł sobie panienkę na boku.
Nie w smak to było jego żonie,
więc zamknęła go na balkonie.
Tadek spełził na ziemię po ścianie bloku.

Ciocia Waclawa

Zeszłego roku nasza ciotka Wacka
piekła mężowi z owocami placka.
Poszła oglądać Wspaniałe stulecie,
a co było dalej – sami już wiecie...
Tak w ogniu owdowiła wujka Jacka.

Dandys

Raz pewien dandys w Barcelonie
nacierał sobie czosnkiem skronie.
Tarł bardzo mocno, aż rozjątrzył
dla urody swe rany i skończył
w gazecie na nekrologów stronie.

Jakub Kloza



Źródło: restaurars.altervista.org



Redaktor naczelny

Kinga Krutul

Dziennikarze

Ewa Balcerzak, Julia Strankowska, Emilia Łapuć, Michał Matur,
Wiktoria Korolczuk, Zuzanna Żukowska, Jakub Kloza, Karol Jamróż,
Maria Nejman, Natalia Woroniecka

Poeci

Natalia Woroniecka, Jakub Kloza

Grafik

Dominika Czajkowska



